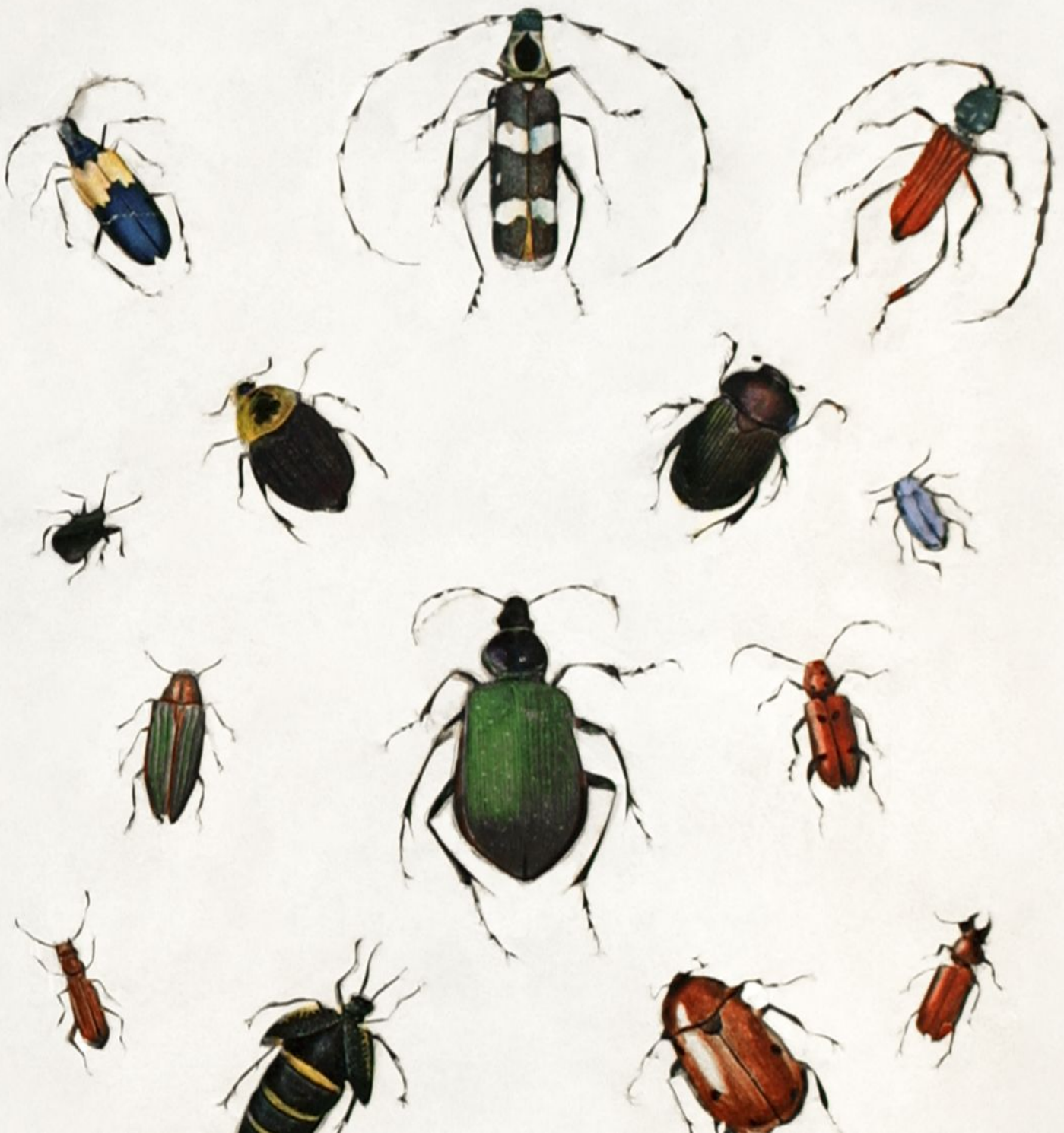


# Człowiek interesu



EDGAR ALAN POE

## Człowiek interesu

TŁUM. STANISŁAW WYRZYKOWSKI

*Melodia jest duszą interesu.**Starodawne powiedzenie*

Jestem człowiekiem interesu. Jestem człowiekiem metodycznym. Metoda przede wszystkim. Nikim tak z całej duszy nie pogardzam jak narwanymi głupcami, którzy metodę głoszą, ale jej nie rozumieją; trzymają się ściśle jej litery, a sprzeniewierają się jej duchowi. Kpy te czynią mnóstwo niedorzeczności w sposób — jak powiadają — prawidłowy. Otóż jest to najzupełniejszym paradoksem. Prawdziwa metoda pozostaje w związku tylko z rzeczami pospolitymi a namacalnymi i nie może być stosowana do *outré*<sup>1</sup>. Czyż podobna skojarzyć jakąś określoną ideę z takimi wyrażeniami jak „metodyczny Jasiak z Waszecia” lub „systematyczny Wicek od Wiechcia”?

Poglądy moje na tę sprawę nie byłyby takie jasne, gdyby nie szczęśliwy wypadek, który przydarzył mi się, kiedy jeszcze byłem berbeciem. Pocziwa, stara niańka irlandzka (o której nie zapomnę w moim testamencie) pewnego dnia, kiedy hałasowałem więcej, niż było wolno, porwała mnie za pięty, okręciła mną dwa czy trzy razy w powietrzu, zaklęła, żeby mi „oczy wykapały”, i grzmotnęła mą głowę o nogę od łóżka. Zdarzenie to rozstrzygnęło o moim losie i zapewniło mi powodzenie. Od razu guz wyskoczył mi na czoło i rozwinął się w znakomity narząd porządku, o czym każdy może przekonać się latem. Stąd pochodzi to moje zamiłowanie do systemu i regularności, które uczyniło ze mnie niezrównanego człowieka interesu.

Do niczego na ziemi nie czuję takiej nienawiści jak do geniuszu. Ci wasi geniusze, to arcyosły — a im większy geniusz, tym większy z niego osioł — i od tej reguły nie ma żadnego wyjątku. W szczególności niepodobna jest zrobić z geniusza człowieka interesu, tak samo jak nie można wyluskać pieniędzy z lichwiarza lub orzechów muszkatołowych z szyszki. Ci durnie chodzą zawsze samopas, zajęci jakimiś urojonymi dziełami i śmiesznymi mrzonkami, w najzupełniejszej niezgodzie z „porządkiem jak się patrzy” i nie mają żadnego interesu, który by w ogóle można nazwać interesem. Toteż nietrudno poznać ich charakteru z rodzaju ich zajęć. Jeżeli zdarzy się wam spotkać człowieka, który założy sklep bławatny; czy też zajmie się handlem bawełną, tytoniem lub innym narwanym przedsięwzięciem; czy będzie sprzedawał towary łokciowe, ważył mydło lub zarabiał na życie w jakiś inny podobny sposób; czy wreszcie będzie niby to prawnikiem, kowalem lub lekarzem — słowem, gdy będzie zbaczał z utartej drogi — to wiedźcie od razu, że macie do czynienia z geniuszem i zarazem, wedle reguły trzech, z osłem.

Jakoż nie jestem wcale geniuszem, lecz rzetelnym człowiekiem interesu. Mój dziennik i moja księga główna mogą tego dowieść każdej chwili. Muszę sobie przyznać, że są dobrze prowadzone, w ogólnym zaś moim przyzwyczajeniu do dokładności i punktualności nikt mi dorównać nie zdoła. Ponadto zajęcia moje pozostawały zawsze w zgodzie z powszednimi nawykami mych bliźnich. Nic wprawdzie nie zawdzięczam pod tym względem moim nader tumanowatym rodzicom, którzy bez wątplenia byliby uczynili ze mnie jakiegoś niedowarzonego geniusza, gdyby mój anioł opiekuńczy nie był mi przyszedł w porę z pomocą. W biografii prawda jest wszystkim, zaś jeszcze w wyższym stopniu w autobiografii — a jednak obawiam się, iż mogę spotkać się z niedowierzaniem, gdy wyznam solennie, iż mój biedny ojciec umieścił mnie jako piętnastoletniego chłopaka w pewnym

Dzieciństwo, Opieka,  
Przemoc

Ojciec, Syn, Praca

<sup>1</sup>outré (fr.) — przesadny; tu: przesada. [przypis edytorski]

kantorze<sup>2</sup>, o którym wyraził się, że jest „poważną firmą żelazną, mającą bardzo rozległe stosunki handlowe”. Co za głupstwo! Następstwem tego szaleństwa było to, iż po dwu czy trzech dniach musiano mnie odesłać na łono mej zakutej rodziny, rozgorączkowanego do nieprzytomności, z niesłychanie przykrym i groźnym bólem głowy, zwłaszcza w okolicy mojego narządu porządku. Zdawało się, że już po mnie — przez sześć tygodni ważyłem się między życiem a śmiercią — lekarze mnie odstąpili. Wycierpiałem wprawdzie wiele, ale się nie dałem. Nie zostałem dzięki temu „poważnym hurtownikiem żelaznym, posiadającym rozległe stosunki handlowe” i byłem ogromnie wdzięczny zarówno narośli, która stała się przyczyną mojego ocalenia, jak dobroczynnej kobiecie, która mi ją wywołała.

Chłopcy uciekają z rodzicielskiego domu przeważnie w dziesiątym lub dwunastym roku życia; ja natomiast czekałem aż do szesnastego. I sam nie wiem, czy nawet wówczas byłbym poszedł w świat, gdybym przypadkiem nie był usłyszał, że moja stara matka chciałaby mi założyć sklepik kolonialny. Sklepik kolonialny! — no, proszę, proszę! Postanowiłem tedy drapnąć z domu i obejrzeć się za jakimś przyzwoitym zajęciem, które by mi pozwoliło na przyszłość nie ulegać zachciankom tej wartogłowej<sup>3</sup> staruszki i nie być narażonym na niebezpieczeństwo zostania kiedyś geniuszem. W tych zamiarach poszczęściło mi się od razu i w osiemnastym roku życia robiłem już nie byle jakie i nader korzystne interesy pełniąc obowiązki „wędrównej reklamy pewnego przedsiębiorstwa konfekcyjnego”.

Tylko dzięki ścisłemu przestrzeganiu systemu, który stanowi zasadniczy rys mego umysłu, udało mi się sprostać uciążliwym obowiązkiem tego zawodu. Skrupulatna metoda znamionowała zarówno me poczynania, jak obliczenia. O ile chodziło o mnie, to metoda — a nie pieniądze — tworzyła człowieka lub przynajmniej to wszystko, czego nie tworzył krawiec, któremu służyłem. O dziewiątej z rana zachodziłem do niego po odzież, którą tego dnia należało wdziać. O dziesiątej znajdowałem się już na jakiejś *fashionable*<sup>4</sup> promenadzie lub innym publicznym miejscu rozrywek. Niezrównaną dokładność, z jaką obracałem w różne strony swą urodziwą postać, by pokazać kolejno wszystkie szczegóły włożonego ubrania, wywoływała podziw wszystkich znawców tego zawodu. Nie zdarzyło się nigdy, żebym około południa nie przyprowadził klienta do sklepu swych chlebowców, Messrs.<sup>5</sup> Cuta i Comeagaina. Powiadam to z dumą, lecz ze łzami w oczach, gdyż firma ta dopuściła się względem mnie najczarniejszej niewdzięczności. Skromnego rachunczku, o który posprzeczailiśmy się i w końcu rozeszli, nikt istotnie obeznany z interesami tego rodzaju nie będzie uważał za wygórowany. Wszelako tę sprawę z uczuciem dumnego zadowolenia pozostawiam orzeczeniu mych czytelników. Rachunek mój opiewał następująco:

Do  
Messrs. Cut i Comeagain, firmy konfekcyjnej,  
od Petera Proffita,  
przedsiębiorcy reklamy wędrównej

		dol.
10 lipca	Udałem się jak zwykle na promenadę i sprowadziłem klienta	0,25
11 lipca	ditto <sup>6</sup> ... ditto... ditto...	0,25
12 lipca	Za kłamstwo drugiego stopnia, wypłowiły czarny surdut sprzedałem jako oliwkowy	0,25

<sup>2</sup>kantor (daw.) — biuro przedsiębiorstwa. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>wartogłowy (daw.) — lekkomyślny, niezbyt zrównoważony. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>fashionable (ang.) — modny. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>Messrs. (skrót ang.) — panowie; skrót stosowany przy oficjalnym zwracaniu się do więcej niż jednego mężczyzny oraz w nazwach firm. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>ditto (z wł.) — jak wyżej, to samo. [przypis edytorski]

13 lipca	Za kłamstwo pierwszego stopnia, wyborowej jakości i pokroju; poleciłem lichą satynę <sup>7</sup> jako przednie sukno	0,75
20 lipca	Na kupno nowego półkoszulka papierowego, aby szara baja <sup>8</sup> lepiej na mnie wyglądała	0,02
15 sierp.	Za włożenie podwójnie watomanego płaszczu przy 106° ciepła <sup>9</sup> w cieniu	0,25
16 sierp.	Za trzygodzinne wystawanie na jednej nodze, by lepiej widziano modne pantalony <sup>10</sup> w paski; po 12,5 centa od nogi i od godziny	0,37½
16 sierp.	Udałem się jak zwykle na promenadę i sprowadziłem dobrego klienta (tusiocich)	0,50
18 sierp.	ditto (średniego wzrostu)	0,25
19 sierp.	ditto (niskiego wzrostu i kiepsko płaci)	0,06
	RAZEM	2,95½

Szczegółem, który przede wszystkim stał się przedmiotem zatargu, była nader umiarkowana cena dwóch centów za półkoszulek. Zaręczam słowem honoru, że ten półkoszulek mógł być tyle wart. Równie czystego i powabnego nie zdarzyło mi się przedtem widzieć i mam wszelkie powody do mniemania, iż dzięki niemu udało się sprzedać aż trzy bajki. Wszelako starszy wspólnik firmy godził się tylko na jednego centa i podejmował się wykroić cztery takie półkoszulki z jednego arkusza bibułki. Nie potrzebuję chyba nadmienić, iż nie odstąpiłem ani na krok od zasady. Interes jest interesem i powinien być załatwiony, jak na interes przystoi. Nie było ani krzty systemu w tym oszukiwaniu mnie o jednego centa — zwyczajna grabież piętnastu procent — na domiar bez żadnej metody. Wymówiłem natychmiast służbę u Messrs. Cut i Comeagain i założyłem „przedsiębiorstwo zapaskudzania widoków” — jedno z najzyskowniejszych, najszanowniejszych i najniezależniejszych przedsiębiorstw.

Moja bezwzględna rzetelność, oszczędność oraz surowe przestrzeganie zasad interesu wystąpiły znów w całej pełni. Przedsiębiorstwo moje zakwitło i wnet nauczono się cenić mnie na „giełdzie”. To pewne, iż nie babrałem się w byle jakich drobnostkach, lecz przestrzegałem dobrej, starej, trzeźwej rutyny interesu — z którym bez wątpienia nie byłbym się rozstał do dzisiejszego dnia, gdyby nie malutki wypadek, który zdarzył mi się przy pewnej dość zwykłej czynności zawodowej. Gdy jakiś stary sknera, syn marnotrawny lub na niepewnych nogach stojąca spółka zapragnie wybudować sobie pałac, to najprostszą rzeczą w świecie jest tę budowę im utrudnić, jak to wiadomo każdemu inteligentnemu człowiekowi. Na tych to utrudnieniach polega właśnie przemysł zapaskudzania widoków. Skoro projekt budowy jest już w toku, my, przedsiębiorcy, staramy się zapewnić sobie jakąś częśćkę parceli, na której dom ten ma stać, albo jakiś piękny, niewielki plac, przyległy czy położony tuż przed samym frontem. Kiedy to nastąpi, czekamy, aż mury pałacu staną już do połowy, po czym godzimy jakiegoś modernistycznego architekta, aby postawił naprzeciw jakąś karykaturalną lepiankę; czy to holenderską pagodę, czy chlew,

Interes

<sup>7</sup>satyneta — lekka tkanina podobna do satyny. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>baja — rodzaj miękkiej bawełnianej tkaniny. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>106° ciepła — w skali Fahrenheita, używanej w Skanach Zjednoczonych, co odpowiada 41 °C. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>pantalony (daw.) — spodnie. [przypis edytorski]

czy wreszcie inną fantazyjną budę w stylu eskimoskim, kickapooskim lub hotentockim. Oczywiście nie możemy się zgodzić na zburzenie tych budynków, o ile nie otrzymamy jakichś pięciuset procent tytułem odszkodowania za plac budowlany i za ową kłódkę. Bo czyż możemy? Stawiam pytanie. Zwracam się z nim do ludzi interesu. Po prostu byłoby niedorzecznością przypuszczać, że możemy. A jednak natknąłem się na taką łajdacką szajkę, która zażądała, abym to zrobił — abym to właśnie zrobił. Rozumie się, że zbyłem to niedorzeczne żądanie milczeniem, ale uważałem za swój obowiązek tejże samej nocy usmarować sadzą cały ich pałac. Za co ci bezmyślni niegodziwcy wsadzili mnie do kozy. Kiedy zaś mnie wypuszczono, gentlemani od zapaskudzania widoków uważali za właściwe zerwać ze mną wszystkie stosunki.

„Zaczepek i zniewagi” były interesem, którego musiałem jąć się z kolei dla chleba, lecz który niezbyt odpowiadał delikatnemu memu organizmowi. Bądź co bądź zabrałem się do dzieła pełen otuchy i wychodziłem na swoje, podobnie jak poprzednio, dzięki surowym nawykom metodycznej ścisłości, którą wbiła mi w głowę ta przezacna stara niania — zaiste byłbym najpodlejszym z ludzi, gdybym nie pamiętał o niej w swym testamencie. Przestrzegając — jak już wspomniałem — najdokładniejszego systemu w swych poczynaniach i pilnując prawidłowego prowadzenia ksiąg, zdołałem przewyciężyć wiele poważnych trudności i ostatecznie ustalić się przyzwoicie w tym zawodzie. Trzeba przyznać, iż niewielu ludzi zdołałoby się tak wywiązać tego bajecznego interesiku jak ja. Przytoczę tutaj stroniczkę albo i więcej z mojego dziennika, bym nie potrzebował być trąbą własnej chwały — co jest godne pogardy i czego żaden szlachetniej myślący człowiek się nie dopuszcza. Rozumie się, że dziennik jest wyższy nad wszelkie kłamstwa.

1 stycznia. Uroczystość Nowego Roku. Spotkałem na ulicy Snapa podchmielonego. Nb. — ten dobry. Wnet potem spotkałem Gruffa, urzędnego jak biał. Nb. — także odpowiedni. Zaciągnąłem obu tych gentlemanów do mej księgi głównej i otwarłem dla nich bieżący rachunek.

2 stycznia. Zastałem Snapa na giełdzie, podszedłem do niego i nadepnałem mu na palce. Zacisnął pięści i lunął mnie tak, że upadłem na ziemię. Doskonale! — podniosłem się znowu. Niejakie trudności z mym adwokatem, Bagem. Chciałbym dostać tysiąc dolarów odszkodowania, lecz on powiada, że za takie zwykłe pobicie nie możemy żądać więcej niż pięćset. Nb. trzeba pozbyć się Baga — ten człowiek nie ma za grosz systemu.

3 stycznia. Wpadłem do teatru, by poszukać Gruffa. Siedział w bocznej łoży drugiego rzędu między dwiema damami, jedną tłustą, a drugą chudą. Gapiłem się na nich tak uporczywie przez lornetkę, iż w końcu gruba dama zarumieniła się i szepnęła coś do Gruffa. Wdepnąłem potem do łoży i podsunąłem nos pod jego rękę. Nie chciał za niego pociągnąć — nie szło. Sapnąłem i próbowałem znowu — nie szło. Usiadłem tedy i jąłem mrugać na chudą damę. Ku wielkiemu mojemu zadowoleniu porwał mnie za kark i przetrzął przez balustradę na parter. Zwichnięcie kręgow szyjnych i prawa noga przetrącona. Powróciłem do domu rozradowany, wypilem butelkę szampana i zapisałem na rachunek tego młodzieńca pięć tysięcy dolarów. Bag powiada, że to pójdzie.

15 lutego. Ugoda polubowna z Mr Snapem. Dochód wniesiony do dziennika — pięćdziesiąt centów — jak uwidoczniło.

16 lutego. Wystrychnął mnie na dudka ten łajdak, Gruff, który zbył mnie pięcioma dolarami. Koszty sądowe: cztery dolary, dwadzieścia pięć centów. Czysty zysk — patrz dziennik — siedemdziesiąt pięć centów.

Z tego widać, iż czysty dochód w bardzo krótkim czasie wyniósł aż jednego dolara i dwadzieścia pięć centów, i to tylko za Snapa i Gruffa; a zapewniam jak najuroczyściej, iż te wypisy zaczerpnąłem na chybił trafił z mojego dziennika.

Stare to, ale dobre powiedzenie, iż pieniądze nie są warte zdrowia. Przekonałem się, iż wzruszenia, nieodłączne od tego zawodu, zbyt dają się we znaki memu wrażliwemu ustrojowi cielesnemu. Spostrzegłem, że zupełnie wychodzę z fasonu, i po prostu nie wiedziałem, co począć. Kiedy jednak spotkani na ulicy przyjaciele poczuli nie wierzyć własnym oczom, czy jestem istotnie Peterem Proffitem, przyszło mi na myśl, iż nie pozostaje nic

Pieniądz, Zdrowie

innego, jak zmienić sposób zarobkowania. Jąłem się tedy „obryzgiwania błotem” i uprawiałem ten zawód przez kilka lat.

Najujemniejszą jego strona jest to, że posiada zbyt wielu lubowników i natłok do niego jest ogromny. Każdy nieuk, który przekona się, iż nie ma dość mózgu, by poradzić sobie z wędrowną reklamą albo zapaskudzeniem widoków lub zaczepianiem i obrażaniem przechodniów, myśli, iż zdoła obrzucać błotem. Jednakże jest to najzupełniej błędny pogląd, jakoby babraniem się w błocie nie wymagało wysiłku umysłowego. W szczególności nie da się niczego osiągnąć w tym zawodzie bez metody. Zajmowałem się tylko interesem detalicznym, a przecież dzięki mojemu dawnemu nawykowi systematyczności wszystko szło gładko jak po maśle. Przede wszystkim skrzyżowania ulic wybierałem z wielką rozważą i nigdy nie ruszyłem miotłą w innej części miasta. Dokładałem przy tym starań, żeby zawsze była w pobliżu niewielka, ładna kałuża, z której w każdej chwili mógłbym skorzystać. Dzięki temu dałem się poznać jako człowiek, na którym można polegać, a proszę mi wierzyć, że to niemal rozstrzyga o powodzeniu w każdym interesie. Każdy wtykał mi miedziaka, by minąć szczęśliwie skrzyżowanie, gdzie stałem, i nie mieć obryzganym błotem pantalonów. A ponieważ przewodnie zasady mego interesu były dostatecznie znane, przeto nie zdarzyło mi się nigdy mieć do czynienia z oszustwem. Nie byłbym go ścierpiał. Nie oszukując nigdy nikogo, nie pozwalałem również nikomu robić ze siebie igraszki. Sprzeniewierzeniom bankowym oczywiście zapobiec nie mogłem. Niewypłacalność zagrażała mi ruiną. Cóż, kiedy banki nie są jednostkami, lecz zrzeczeniami, a zrzeczenia, jak to powszechnie wiadomo, nie mają ciała, które można kopnąć, ani dusz, które można przekląć.

Robiłem pieniądze na tym interesie, gdy w nieszczęsną godzinę zachciało mi się zająć „obryzgiwaniem obuwia przez psa”, co jest zajęciem poniekąd podobnym, ale nierównie mniej poważnym. Rozumie się, iż miejsce mojego postoju było znakomicie wybrane, gdyż znajdowało się w samym środku miasta, a przy tym miałem doskonale szczotki i czernidło do obuwia. Mój piesek był wypasiony i potrafił wywąchać wszystko. Pracował w tym zawodzie od dawna i muszę przyznać, że znał się na nim. Sposób naszego postępowania był następujący: Pompei, wytarzawszy się należycie w błocie, siedział przed drzwiami sklepu i czyhał, aż nadejdzie jakiś dandy<sup>11</sup> w świecącym obuwiu. Wówczas wybiegał naprzeciw niego i muskał swą sierścią jego lakierki. Dandy poczynął kłąć, na czym świat stoi, i rozglądał się za kimś, kto by mu oczyścił obuwie. Oczywiście byłem do usług z czernidłem i szczotkami. W niespełną minutę zarabiał się sześć pensów. Jakiś czas szło jako tako. Nie ja grzeszyłem chciwością, ale mój pies. Odstępowałem mu trzecią część dochodu, ale on domagał się połowy. Nie mogłem na to się zgodzić — toteż posprzeczaliśmy się i rozeszli.

Następnie jąłem „chodzić z katarynką” i muszę przyznać, że powodziło mi się doskonale. Jest to przedsięwzięcie łatwe, prowadzące prosto do celu i niewymagające szczególniejszych uzdolnień. Dość jest postarać się o katarynkę, co wygrywa jedną tylko melodię i odpowiednio ją przygotować, mianowicie otworzyć mechanizm i gruchnąć w niego trzy lub cztery razy młotkiem. Po prostu nie ma się wyobrażenia, jakiego przez to nabiera tonu przydatnego do interesu. Gdy to się zrobi, trzeba zarzucić katarynkę na plecy i wałęsać się po ulicach dopóty, aż ujrzy się dom, przed którym bruk ma podściółkę z garbarskiej kory i którego kołatkę owinięto kozią skórą. Wówczas staje się i zaczyna się rzępolić, ale trzeba wyglądać tak, jakby miało się stać i rzępolić do sądneho dnia. Natychmiast otwiera się okno, ktoś rzuca sześć pensów i zaczyna wołać: „Cicho być! Wynoś się!” itd. Oczywiście wiem, iż bywają kataryniarze, którzy są gotowi „wynieść się” za tę sumę, ale ja, wiedząc, jak wielkie poczyniłem wkłady, nie pozwalałem się odprawić poniżej szylinga<sup>12</sup>.

Zajęcie to było wcale zyskowne, ale niezupełnie mnie zadowalało, więc je porzuciłem. Praca była trudna, gdyż nie miałem małpy, a przy tym ulice amerykańskie są takie brudne, demokratyczny motłoch taki natrętny, a ulicznicy tacy dokuczliwi!

Przez kilka miesięcy byłem bez zajęcia, lecz w końcu dzięki swej wielkiej rzutkości zdołałem sobie wywalczyć stanowisko na „fałszywej pocztce”. Obowiązki w tym interesie są proste, lecz wcale korzystne. Na przykład: już wczesnym rankiem musiałem przygo-

<sup>11</sup>dandy (ang.) — dandys, mężczyzna z przesadą dbający o strój i kurtuazyjny w zachowaniu. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>szyling — dawna angielska jednostka monetarna; szyling dzielił się na 12 pensów. [przypis edytorski]

Muzyka, Interes

List, Fałsz

tować sobie paczkę fałszywych listów. Wewnątrz każdego z nich trzeba było nagryzmolić kilka wierszy do kogoś, kto wydawał mi się dostatecznie zagadkowy i podpisać u dołu jakiegoś Toma Dobsona lub Bobby Tompkinsa. Zalepiwszy i zapieczętowawszy listy oraz nakleiwszy na nich fałszywe znaczki z Nowego Orleanu, Bengal, Botany Bay i innych bardzo odległych miejscowości, odbywałem moją codzienną wędrówkę niby to z wielkim pośpiechem. Doręczałem zawsze te listy tylko w najzamożniejszych domach i otrzymywałem opłatę pocztową<sup>13</sup>. Nikt nie wahał się zapłacić za list, zwłaszcza tak zagadkowy, gdyż ludzie są bardzo głupi — a ja zawsze zdążyłem zniknąć za najbliższym narożnikiem, zanim go otworzono. Najgorszym w tym zawodzie było to, iż musiałem chodzić dużo, szybko i często zmieniać kierunek. Ponadto doznawałem niemiłych wyrzutów sumienia. To tak prz kro słuchać, gdy ktoś bezcześci niewinnego człowieka — a wściekłość, z jaką przeklinano w całym mieście Toma Bobsona i Bobby Tompkinsa, była po prostu przerażająca. Z niesmakiem umyłem ręce od tej całej sprawy.

Mym ósmym i ostatnim interesem było „przedsiębiorstwo hodowli kotów”. Przekonałem się, że jest to najprzyjemniejsze i najzyskowniejsze zajęcie, niepołączone przy tym z żadnymi przykrościami. W kraju naszym — jak powszechnie wiadomo — nastąpiła istna plaga kotów i aby jej zapobiec, okazało się niedawno konieczne wniesienie do władz prawodawczych prośby zaopatrzonej podpisami wielu najszanowniejszych osób. Prośbę tę rozpatrywano na ostatnim, wiekopomnym posiedzeniu. Zgromadzenie, znakomicie obeznane z tą sprawą, powziawszy mnóstwo innych mądrych i zbawiennych uchwał, uwieńczyło je wszystkim edyktem kocim. Pierwotnie ustawa ta wyznaczała nagrodę za kocie łby (po cztery pensy od sztuki), ale senatowi udało się poprawić najważniejszy jej paragraf i słowo „łby” zmienić na „ogony”. Ta poprawka była tak słuszna, iż Izba przyjęła ją jednogłośnie.

Skoro tylko gubernator podpisał regulację, włożyłem cały swój majątek w zakup kiż i miż. Zrazu mogłem je karmić tylko myszami (ile że są tanie), lecz kiedy jęły w myśl nakazu biblijnego mnożyć się wprost przedziwnie, uważałem, że będzie najlepiej, gdy okażą się wspaniałomyślny, i jąłem dogadzać im ostrygami i żółwiami. Ich ogony po cenie wyznaczonej przez ustawę przynoszą mi ładne dochody. Dokonałem bowiem odkrycia, iż przy zastosowaniu olejku makasarowego<sup>14</sup> można otrzymać trzy ogonki na rok. Cieszy mnie również, iż te zwierzątka bardzo szybko przyzwyczajają się do operacji i wolą obywać się bez swej przywieszki, niż włożyć ją za sobą. Stałem tedy na własnych nogach i dobijam właśnie targu o willę nad Hudsonem.

Kot, Prawo, Interes

<sup>13</sup>Doręczałem (...) te listy (...) i otrzymywałem opłatę pocztową — w XIX w. w niektórych krajach nadawca mógł wysłać list, za który opłatę pocztową uiszczal listonoszowi odbiorca. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>olejek makasarowy — popularna odżywka do włosów, używana głównie przez mężczyzn w XIX i na pocz. XX w., której podstawowe składniki pochodziły z portu Makasar na wyspie Celebes. [przypis edytorski]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/poe-zloty-zuk-czlowiek-interesu/>

Tekst opracowany na podstawie: Edgar Allan Poe, Złoty żuk, "Książka i Wiedza", Warszawa 1950.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury. Reprodukacja cyfrowa pochodzi z zasobów Biblioteki Uniwersyteckiej w Toruniu.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec-Gryz, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-6708-6

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.